

# Kariera londyńskiej kwiaciarki

Eliza Doolittle, skromna kwiaciarka londyńska, wystartowała do błyskotliwej kariery wkrótce po roku 1912, roku powołania jej do życia przez G. B. Shawa. „Pygmalion”, sztuka opowiadająca o przelstoczeniu się używającej potwornego żargonu dziewczyny w wytworną lady mogącą być ozdobą każdego salonu, już w czasie pierwszej wojny światowej rozpoczęła zwycięski marsz przez sceny świata — nawiasem mówiąc jej warszawska premiera w marcu 1914 roku była o miesiąc wcześniejsza od premiery londyńskiej.

Po ostatniej wojnie sztuka Shawa nieco straciła na popularności, ale grane był oczywiście nadal — „Pygmalion” oglądaliśmy również w Łodzi właśnie na scenie Teatru Powszechnego.

Dzisiaj tenże Teatr Powszechny gra „My fair lady”, musical Alana Jay Lerner'a z muzyką Fredericka Loewe, będący „Pygmalion” wersją muzyczną. Autorzy nie mieli oczywiście powodu przeobrażać doskonale skonstruowanej akcji — dodał jedynie piosenki, rozbudowali zarówno postacie drugoplanowe, jak i postać ojca Elizy śmieciarza Doolittle, no i dopisali niezbyt prawdopodobny happy end łączący Elizę z profesorem — fonetykiem Higginsem.

Trudno teraz powiedzieć czy było to bardziej zasługą świętych piosenek, tak lubianego przez publiczność happy endu, faktu iż musical jest gatunkiem niesłychanie modnym, czy tego po prostu iż nowojorska zapremiery „My fair lady” miała znakomitą obsadę — dość iż śpiewająca Eliza Doolittle zaczęła ponownie robić światową karierę, a w Polsce znalazła adoratorów w bardzo wielu teatrach, zresztą zarówno dramatycznych jak i muzycznych.

Trudno znaleźć odpowiedź na pytanie jakiego typu teatrowi łatwiej byłoby wprowadzić na scenę pannę Elizę Doolittle — na zachodzie dobiera się

aktorów do sztuki, my natomiast „gramy tym kogo mamy”, stąd w teatrach muzycznych realizacje „My fair lady” kuleją z reguły od strony aktorskiej, zaś w dramatycznych — od strony wokalne. Również i w Łodzi Operetka potrafiłaby to i owo lepiej wypisywać, to i owo zrobić begaciej, ale czy mogłaby tak starannie obsadzić drugi plan w scenach ulicznych (światły LUCJAN WIERNIEK, zresztą nie tylko on), czy potrafiłaby przydać śmieciarzowi Doolittle kompanów na miarę RYSZARDA ZUCHOWSKIEGO i CZESŁAWA PRZYBYŁY, nie mówiąc już o rolach prowadzących?!

CZESŁAW PRZYBYŁA — jeżeli już wspominałem to nazwisko — jest zresztą w ogóle cudowny, sfilmować, udziwiewać, odłożyć dla wnuków! To nie jest przecież rola, nawet różka, to jest nie, ot trzy słowa na krzyż i refren piosenki do zaśpiewania — ale jak on to robi! Chodzi, rusza się, tańczy a tą śmiertelną pijaćką powaga, która każę każdy krok i gest uważać za krok i gest najważniejszy, sprawę aktualnie centralną w wymiarze wszechświata, godną absolutnego skupienia i uwagi. Z chwilą gdy imć Jamie przestawia prawą nogę, sprawne przedstawienie tej nogi staje się dla niego sprawą honoru, pokonuje jej opór, zmusza do twardego wsparcia się o ziemię i dopiera

wódczas może się zająć nogą lewą. Nie myślcie jednak iż Przybyła rozgrywa to wszystko w tempie zwolnionego filmu, że „zagrywa się” na śmierć — przeciwnie, jest najzupełniej naturalny, jedynie straszliwie zajęty swoim zapamiętanym ciąłem.

Rozgadałem się, ale to doprawdy piek na robota — dwa razy, dzień po dniu, oglądałem spektakl „My fair lady”, a jeszcze bym sobie na Przybyłkę popatrzył.

Zresztą nie tylko na niego. Piękna, bogata, soczysta rolę śmieciarza Doolittle dał WŁODZIMIERZ SKOCZYŁAS, głosu mu wprawdzie troszeczkę nie dośtaowało, ale mimo to piosenkę „Jeden szczęścia hut” interpretował znakomicie, agresywnie, z wyczuwaniem stylu.

Jedno tylko — w ewoluacjach tanecznych Skoczyłas „wychodzi z roli”, ma gesty, choćby to przytknięcie w dłoń, modelowane na „Antka z Balut”, tak jak miewał je w rolach innych, choćby Ostapa Bendersa. Mała to rzecz, wobec znakomitej roboty aktorskiej właściwie nieistotna, ale troszeczkę rażą.

Pułkownika Pickeringa — rolę już przez samego Shawa wyjątkowo młodo napisaną — nie bez melancholijnego wdzięku grał ZBIGNIEW NIEWCZAS, wyraźnie ożywiający się jedynie w scenach śpiewanych, gdzie mógł zademonstrować swój przyjemnie brzmący głos.

W miarę sympatycznym, w miarę brutałnym profesorem Higginsem był JANUSZ KUBICKI — rolę poprowadził z umiarem (zwłaszcza z umiarem szafował wyziewkami, jakby pamiętając, że w końcu ma być oblubieniem swej uczennicy), z partii wokalnych wywiązał się wcale nieźle. Nie porwał, ale nie zawiódł.

Sympatycznym Fredem był MICHAŁ SZEWCZYK, wyrazistą panną Pearce — KRYSZYNA FELDMAN, bardzo dobra,

ciepła i lecutka i lecutka panna Higgins — IRENA MALKIEWICZ.

Wreszcie Eliza, przepraszam — dwie Elizy. W sobotę widziałem BARBARĘ POŁOMSKA, wczoraj HALINĘ PAWŁOWICZ i gdyby ktoś przyłożył mi brzytwę do gardła i kazał powiedzieć, która lepsza, bardzo bym się jąkał i pewno zginał marnie, jak zresztą każdy, który wpląże się między dwie frapujące damy.

Powiedem więc ogólnie że były różne. BARBARA POŁOMSKA ma głosik maciupeński, ale wcale nie udaje że tak nie jest, śpiewa lecutko, bez wysilenia i to nas rozbraja, ma przy tym masę wdzięku, więc choć pierwsze sceny przechodzą nieco chropawo, to jest tak zablędzona w scenach nauki, tak ślicznie wygląda w scenie bału i tak uparcie walczy o swoją ludzką godność, że aż jej współczujemy gdy wraca do apodyktycznego „Higginsliaka”.

HALINA PAWŁOWICZ śmieje atakuje piosenki i w ogóle gra ostrzej — co mała owianara, która buntuje się od pierwszej sceny, w kaszę sobie dmuchać nie da i założy się że to ona da szkole Higginsowi, a nie Higgins jej.

Pierwsza koncepcja jest chyba zgodniejsza z tekstem, ale druga bardziej do mnie trafiła — kiedy w łóżu pani Higgins Eliza HALINĄ PAWŁOWICZ zgłębia lódek i mrugnęła na Higginsa, a potem, wybierając się na bal, przezwornie weszła na scenę już w pięknym futerku, jakby wiedząc, że nikt jej tego futerka nie poda, tak jak nie podał Elizie — POŁOMSKIEJ — wiedziałem że Higgins podpadł. Raz będzie na wierzchu, ale za to drugi raz pod spodem — jak w śtycu.

Spektakl zrealizowany został przez ROMANA SYKAŁĘ bardzo starannie, z dbałością, o drugie plany i rozsądnym umiarem w tak zwanej wystawie, co zresztą podyktowane było najprawdopodobniej budżetem, ale trafiło mi do

przeżycia. W ogóle, szczerze mówiąc, mógłbym bez żalu zrezygnować na przykład z baletu, mimo że tańczyli w nim tancerze opery, podobnie zresztą, jak i chórz wzmocniony był operowymi głosami. WITOLD BORKOWSKI ustawił bardzo ładnego kankana i dał parę innych sympatycznych układów, gdyby ich jednak nie było, nie byłoby równieć dziwny ani w niebie, ani w przedstawieniu.

— Muzyka i piosenki — co innego. Muzyka jest naprawdę dobra, bardzo pomyślano — pamiętając o skromnym składzie orkiestry — zinstrumentowana przez BOGDANĄ PAWŁOWSKIEGO i mimo takich czy innych niedostatków wokalnego wykonania zostaje w pamięci, ciepła się człowiekowi po prostu.

Mniej zasmakowało w scenografi MARIANA STAŃCZAKA (tak gigantyczna zasłona z wielgachnymi różami podświetlana na wszystkie możliwe kolory — oj, oj, oj), bardziej już w jego kostymach, zwłaszcza kosmudmach Elizy. To jednak może już być sprawa indywidualnego gustu — ważne jest, że Teatr Powszechny po paru nie najlepszych przedstawieniach znalazł z końcem sezonu drugi oddech, dał spektakl zarazem dobry i kasowy, trafiający do szerokiej publiczności, ale nie ofiarowujący jej żadnej tandety, żadnej łatwizny.

Takiego spektaklu Teatrowi Powszechnemu było po prostu potrzeba — grając go przy pełnej widowni i pewnych oklaskach, odzyska wiarę we własne siły i — mówiąc wojskowym językiem — spokojnie przegrupuje się do kontynuowania artystycznego natarcia.

JERZY PANASEWICZ